

Jan, Marcin Węśławski, Wojciech Moskał
Marek Zajączkowski, Sławomir Kwaśniewski
Jacek Jezierski, Józef Wiktor

WSPOMNIENIA O PROFESORZE STANISŁAWIE SIEDLECKIM

O profesorze Michale Siedleckim pisał Adam Grzymała Siedlecki w książce „Niezwykli ludzie” – „... kto miał szczęście znać tego niezwykle skromnego i dobrego człowieka, uczonego wielkiej miary, powiernika Wyspiańskiego i znawcę poezji...”

Podobne słowa można by powiedzieć o jego synu – profesorze geologii Stanisławie Siedleckim – uczonym, polarniku, skromnym i dobrym człowiekiem, fantastycznym gawędziarzu, znawcy poezji... Mieliśmy szczęście znać Siedleckiego juniora – ten wówczas 70 letni profesor geologii i wybitny podróżnik zaprzyjaźnił się z grupą 20-latków, których spotkał na Spitsbergenie w 1981 r.

Historia Jego życia jest niezwykła, syn wybitnego krakowskiego profesora, rektora Uniwersytetu Wileńskiego, był wychowywany w skromnych, dziś można by powiedzieć niemal ubogich warunkach – żadnych ekstrawagancji, zagranicznych wakacji, korzystania z przywilejów elity społeczeństwa. Jak każdy nastolatek Staś Siedlecki miał swój okres buntu – w tym trudnym okresie rodzice posłali go na wakacje do krewniaka – księdza, który miał wolny pokój na plebani w Zakopanem. Ksiądz był zapalonym turystą i na szczęście mądrym człowiekiem – zrozumiał, że nadąsanego nastolatka z Krakowa nie zachęci do chodzenia po górach racjonalnymi argumentami ani opisami piękna przyrody. Trafił do niego przez próżność – pokazał na wystawie sklepowej eleganckie i bardzo szpanerskie buty górskie „z bawolej skóry”. Temu żaden buntownik nie mógłby się oprzeć – kosztowny i ekskluzywny prezent od kuzyna zbudził w młodym Siedleckim chęć do „pokazania się”. Do tego jeszcze dostał puszkę norweskiego smaru do impregnacji skóry.

Charakterystyczny zapach foczego tłuszczu wrócił do Siedleckiego wiele lat później, kiedy kupował w Norwegii sprzęt na pierwszą polarną wyprawę. Staś zaczął chodzić po górach i szybko przekonał się sam, że odkrywa się przed nim nowy wspaniały świat. Siedlecki to co zaczął robić, robił szybko, skutecznie i bardzo dobrze, wkrótce stał się jednym z liczących się polskich taterników, w latach 20- i 30 tych, w okresie kiedy powstawała legenda polskiej wspinaczki wysokogórskiej.

Kiedy Stanisław Siedlecki miał 15 lat, w 1928 r., odbyła się ostatnia heroiczna wyprawa polarna – włoski lot do Bieguna Północnego sterowcem ITALIA, jego katastrofa i międzynarodowa akcja ratunkowa, w której zginął Roald Amundsen.

Dla prasy na całym świecie było to wydarzenie na pierwsze strony gazet, dzienniki wypraw polarnych należały wówczas do najbardziej poczytnych książek. Siedlecki czytał pięknie ilustrowane wydania niedawnych, dramatycznych przygód Nansena, Księcia Abruzzo, Greely'ego i innych wielkich odkrywców. Kiedy więc w 1930 r. ogłoszono w prasie, że Polska przystępuje do międzynarodowego Roku Polarnego i rozpoczyna przygotowania do pierwszej ekspedycji polarnej pod narodowym sztandarem, Siedlecki był gotów. Dziewiętnastoletni student napisał do organizatora ekspedycji w Państwowym Instytucie Hydro Meteorologicznym oferując swoje usługi dla wyprawy.

Takich listów biuro organizacyjne miało zapewne setki – ale prawdopodobnie nazwisko i adres zrobiły swoje i syn Michała Siedleckiego dostał zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną. Przed wyjazdem do Warszawy odbył rozmowę z Ojcem. Co typowe dla ówczesnej obyczajowości, Profesor Michał Siedlecki surowo upomniął swego syna, żeby w żadnym wypadku nie powoływał się na niego. Stanisław Siedlecki miał zostać polarnikiem na własny rachunek i z uznania własnych kwalifikacji. Student fizyki, taternik amator, pojechał na Północ w składzie trzyosobowej ekipy naukowej, która miała przezimować na Wyspie Niedźwiedziej. Ten najmłodszy okazał się najbardziej przytomnym, zrównoważonym i najlepiej dającym sobie radę członkiem ekspedycji.

Pobyty na Wyspie Niedźwiedziej wywarł na Siedleckim wielkie wrażenie. Jego ówczesny szef – Czesław Centkiewicz został później Wielkim Opowiadaczem i popularyzatorem polarnych krain, ale nigdy nie pojechał po raz drugi na prawdziwą ekspedycję polarną. Siedleckiemu nie wystarczyły prasowe relacje, kolejne książki i popularność wśród szkolnej młodzieży. W odróżnieniu od wielu rodaków – Siedlecki zachował zdrowy rozsądek i dystans to własnych dokonań.

Pamiętam jak w latach 80-tych ta właśnie jego cecha zrobiła na nas największe wrażenie. Z przyjaciółmi interesowaliśmy się wyprawami polarnymi od dawna, czytaliśmy co się dało, organizowaliśmy studenckie wyprawy na Spitsbergen. Poznaliśmy też „środowisko polarne”, które tak samo jak podobne „górskie” czy „żeglarskie” szybko zaczęło tworzyć własne mity o swej wyjątkowości. Faceci, którzy popłynęli jachtem do Tromsø publikowali w prasie wspomnienia „ja i badania polarne” albo „ucieczka z lodowej pułapki”. Było w tym sporo zasługi Centkiewicza, który utrwalił mit „grozy arktycznej” w szkolnych czytankach. W tym medialnym szumie i puszeniu się polarników Siedlecki był jak łyk świeżego powietrza. O zimowaniu na Wyspie Niedźwiedziej mówił jako o ważnym politycznym wydarzeniu, które pozwoliło pokazać flagę Polski na międzynarodowym forum, ale nigdy nie traktował tej wyprawy jako wydarzenia eksploracyjnego czy polarnego, mawiał: „spędziliśmy rok w budynku biura opuszczonej kopalni norweskiej” – to brzmiało mało bohatersko.

To jednak właśnie Siedlecki jest Polakiem, który dokonał ostatniego chyba eksploracyjnego wyczynu w Arktyce o międzynarodowym znaczeniu. Biegun

Północny został zdobyty w 1909 r., trawers Grenlandii w 1888, przejście Północno – Zachodnie w 1907 itp. Jedną z ostatnich nie zdeptanych tras pozostał trawers Spitsbergenu, długiej na prawie 800 km wyspy, której wybrzeża były znane od dawna, ale wysokie góry i lodowce broniły dostępu do wnętrza. W 1936 r. z dwoma towarzyszami, przyjaciółmi z Klubu Wysokogórskiego wylądował, przewieziony przez norweskich rybaków, na południowym cyplu wyspy. W tych dziwnych czasach polska złotówka miała taką wartość, że trzech polscy taternicy kupowali tanio najlepszy sprzęt w Danii i w Norwegii, a wynajęcie kutra nie stanowiło problemu finansowego. Biednym norweskim rybakom zostawili nawet część niepotrzebnego sprzętu.

Następnego dnia po rozpoczęciu podróży znaleźli się w sytuacji, która zmienia turystę w odkrywcę – weszli w teren nie naniesiony na mapy. Przez nieprzetarte i nieznane obszary szli przez dwa miesiące, w takich samych ubraniach, z takimi samymi saniami jak ich wielcy poprzednicy. Cały zapas żywności i paliwa ciągnęli za sobą – a ponieważ szli latem, kiedy śniegi na lodowcach topnieją, najczęściej brnęli po łydki w wodno – śnieżnym błocie. Nie była to łatwa trasa ani lekka podróż – Jodko – Narkiewicz po miesiącu marszu „przewrócił się i zaczął umierać” – koledzy zimno – krwiście wiali mu w gardło mieszankę śniegu z kroplami nasercowymi i po paru godzinach odpoczynku ruszyli razem dalej.

Wojna rozpoczęła się dla Stanisława Siedleckiego tragicznie. Jego ojciec Michał, wzór i przyjaciel, zginął w obozie w 1940 r., wywieziony wraz z grupą profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Siedlecki podjął studia na tajnych kompletach, a w 1944, w porozumieniu z komendą AK z grupą taterników wyjechał w Tatry, żeby przygotować się do przejęcia schronisk wysokogórskich, na wypadek wycofywania się Niemców.

Bazą tej dziwnej grupy stało się małe schronisko Pod Wagą, nawiązali kontakt ze słowackim ruchem oporu i prowadzili dla nich obserwację przełęczy na polskiej stronie gór. Siedlecki z przyjaciółmi spędził w Tatrach prawie cały ostatni rok wojny. Czas wypełniało im ukrywanie się przed oddziałami Alpenjegrów, obserwacje przełęczy, przekazywanie informacji Słowakom, oraz ...wspinaczki. Zakończenie wojny symbolizowało zdarzenie z końca stycznia 1945 r., kiedy Siedlecki zjechał w dolinę na nartach żeby zorientować się w sytuacji. Przy wodogrzmotach Mickiewicza zobaczył ślady sań, napisany na śniegu cyrylicą wyraz MINY oraz wielki ludzki ekskrement, „w ten sposób zrozumiałem, że zostaliśmy wyzwoleni” powiedział nam Profesor.

W 1947 r., Siedlecki opublikował na łamach miesięcznika Taternik „List otwarty”, do Braci Słowaków i Czechów z podziękowaniami za pomoc jakiej Polacy w Tatrach doznali od swych południowych sąsiadów.

Krótki i piękny list był chyba jedynym oficjalnym wyrazem uznania i przypomnienia pomocy udzielanej kurierom i taternikom polskim w czasie wojny. Siedlecki miał zresztą z Czechami i Słowakami kilka iście Hrabalowskich historii.

Pamiętam jak opowiadał nam o wspinaczce, na którą nielegalnie poszedł wraz z Janem Józefem Szczepańskim na słowacką stronę w 1946 r. Chcieli zdobyć zachodnią ścianę Łomnicy, ale w czasie wspinaczki Szczepański spadł w żlebie i złamał nogę. Siedlecki jakoś przetransportował towarzysza do schroniska w Dolinie Zimnej Wody. Tam zaczęli rozważać następny problem – byli na Słowacji nielegalnie, a jakoś trzeba było wrócić z rannym Szczepańskim do Polski. Wspólnie z zaprzyjaźnionym Słowakiem Harrym Raczem wykombinowali, że sfingują wypadek na granicznej ścianie Żabiego Konia, że niby przez to polski taternik spadł na słowacką stronę. Przykazując żeby Polacy nie odzywali się ani słowem, przyjaciele przetransportowali rannego na noszach do Bilikowej Chaty. Tam spotkali wczasującego z żoną Angielką „sztabnego kapitana” czesko-słowackiego dywizjonu RAF, który przyjechał w góry sportowym dwuosobowym samochodem. Od razu zaoferował pomoc w transporcie Szczepańskiego do granicy na Łysej Polanie.

Następnego ranka sportowe MG wiozło na dwóch siedzeniach kierowcę-lotnika i rannego, a w bagażowym kufrze asystę – Siedleckiego i dwóch zaprzyjaźnionych Słowaków. Sztabny kapitan miał kurtkę od galowego munduru z epoletami i spodnie od piżamy. Na granicy obudzili czechosłowackich celników i sprzedali im bajkę o Żabim Koniu. Ponieważ strażnicy przejęli się wypadkiem i pomogli przekonać polskich pograniczników, z przejęciem przyłączyli się do transportu i w końcu do Morskiego Oka, na stopniach samochodu jechał jeszcze polski porucznik i czechosłowacki celnik. Cała akcja zakończyła się popijawą w schronisku i odjazdem samochodu następnego dnia, ale bez Harry'ego Racza. Tym razem Polacy przekonali naszych pograniczników, że Harry wróci do domu przez Rysy, z pominięciem przejścia granicznego.

Najbardziej trwałym osiągnięciem Siedleckiego była budowa Polskiej Stacji Polarnej w Hornsundzie na Spitsbergenie w 1957 r. Podobnie jak w latach 30-tych pokazywanie flagi narodowej było ważne dla budowy wizerunku nowego, niepodległego cywilizowanego państwa, tak po najgorszym okresie stalinowskim pojawiła się szansa żeby pokazać polską naukę światu.

Kolejny Międzynarodowy Rok Polarny – Geofizyczny był do tego pretekstem, ale najbardziej fascynujące jest, że Siedlecki zorganizował w latach 1956, 57/58r. wyprawy polarne i stację o europejskim formacie, które nie różniły się niczym od brytyjskich czy duńskich przedsięwzięć w tym okresie. Jak napisał po latach uczestnik tych ekspedycji Maciej Kuczyński, Siedlecki w zdumiewający sposób przeniósł przez lata 50-te wzorzec przedwojennej, eksploracyjnej wyprawy polarnej, gdzie nie było miejsca na świadomość klasową czy właściwą polityczną postawę. Bezpartyjni inteligenci, elitarni taternicy, wielu z rodowodami z AK czy RAF – takie towarzystwo budowało Polski Dom pod Biegunem w czasie odwilży politycznej 1957 r. Dorobek naukowy tych wypraw jest imponujący, a powstała wówczas Stacja służy do dziś kolejnym pokoleniom naukowców i jest znakomitym ambasadorem Polski w Europie. Ponieważ były to jednak lata

50-te nie obyło się bez kłopotów. Siedlecki miał kilku bardzo wysoko postawionych wrogów, udało im się między innymi wstrzymać po cichu budowę drewnianych elementów budynku stacji – kiedy przypadkiem sprawa wyszła na jaw, cudem udało się nadgonić stracone miesiące i przygotować panele do załadunku na statek. Inny kawał to skierowanie zaopatrzeniowego statku z węglem w przeciwną stronę. Ekipa naukowa i podstawowy sprzęt płynęły parowcem Marynarki Wojennej, który musiał w Tromsø załadować węgiel do opalania kotłów na drogę powrotną. Kiedy wyprawa dotarła do Północnej Norwegii, okazało się że polski statek z paliwem kiwa się gdzieś na Morzu Śródziemnym, ponieważ zmieniono mu rozkazy. Kapitan oświadczył, że w tej sytuacji musi wracać do kraju, bo nie stać go na zakupy dewizowego węgla w Europie. Siedlecki po kilku godzinach załatwił na swój osobisty podpis darmowy zapas węgla ze składu w Tromsø – przyrzekł Norwegom, że odda tę samą ilość kiedy tylko statek zaopatrzeniowy tu dopłyne.

Te i inne przygody sprawiły, że Centkiewicz i Siedlecki nie rozmawiali z sobą niemal do końca życia. Ich pojednanie, nastąpiło na rok przed śmiercią Centkiewicza, który mieszkał w Warszawie. Kiedy dowiedział się, że Siedlecki po latach emigracji wrócił do Polski i mieszka w Łodzi napisał do niego długi list z prośbą o zapomnienie dawnych konfliktów.

Poznaliśmy Profesora w niezwykłym roku 1981 – w czasie zimowania w Polskiej Stacji Polarnej, dowiedzieliśmy się z radia, że w Polsce wprowadzono Stan Wojenny. Odcięci od kontaktu ze światem, byliśmy na terytorium norweskim, do którego rościli pretensje terytorialne i politycznej obecni tam od wielu lat Rosjanie. Zimna Wojna była w pełnym rozkwicie, a szelf pod Spitsbergenem stanowił jedno z ulubionych miejsc misji atomowych okrętów podwodnych. Byliśmy pewni że w Kraju wybuchnie wojna, a ZSRR zajmie kolejną stację polarną. Kompletnie zdezorientowani wiedzieliśmy tylko, że w Norwegii mieszka od wielu lat Profesor Stanisław Siedlecki. Kiedy Gubernator Norweski zapewnił nam bezpieczeństwo napisaliśmy do Siedleckiego długi list przedstawiając swoje obawy i prosząc o radę. Siedlecki w tym samym dniu, 16 grudnia 1981 siedział w swoim domu w Trondheim i pisał list do nieznanym sobie polskich polarników w Hornsundzie. Czuł się odpowiedzialny za Polaków na Spitsbergenie i za dom, który wymyślił i zbudował. Poruszył wszystkie swoje kontakty w Norwegii i wiosną helikopter norweski przywiózł go po 20 latach do Jego Stacji Polarnej.

Został z nami do lata, 70 letni emigrant, emerytowany uczonej w arktycznej stacji w zespole kompletnie nie znanych sobie o dwa pokolenia młodszych ludzi. Było fantastycznie. Profesor już słabo chodził, ale jego pasją było pływanie łódkami i silniki. Nasza grupa zajmowała się badaniami morskimi więc spędziliśmy razem mnóstwo czasu w terenie. Na Spitsbergenie spotkaliśmy się jeszcze kilka razy, później podarował nam swoją norweską łódź, japoński silnik, amerykański sztucer, każdy z nas został obdarowany pięknym fińskim nożem, a Wojtek Mo-

skal, który utopił Profesorowi jego nowiutki silnik dostał jeszcze na pocieszenie zegarek – szwajcarski.

Profesor był Europejczykiem w najlepszym znaczeniu tego słowa. Był gorącym polskim patriotą i widok narodowej flagi nad Stacją zawsze budził jego wzruszenie. Znał biegle pięć języków, był fantastycznie odczytany w klasycznej literaturze i poezji. Miał współpracowników i przyjaciół wśród największych geologów i polarników swoich czasów. Przyjaźnił się z redaktorem Tygodnika Powszechnego – Jerzym Turowiczem, w jego mieszkaniu w czasie wojny odbywały się próby teatru Kantora. Zwiedził niemal cały świat, swoje podróże utrzymywał na beznadziejnie nudnych filmach robionych amatorską kamerą – ale potrafił świetnie opowiadać i miał imponującą wiedzę z najbardziej nieoczekiwanych dziedzin. Miał bezbłędne poczucie tego co dobre i złe i był dla nas wzorem otwartego, życzliwego i czynnego stosunku do świata.

W czerwcu 1982 r. władze PAN zafundowały nam w Hornsundzie wizytę prawdziwego pułkownika UB, który został wysłany z misją wykrycia NATO-wskich szpiegów. Profesor siedząc w fotelu pod oknem powiedział do nas niezbyt ściszym głosem „a znacie taki wierszyk chłopcy ? –Pelikanek jest to ptaszek, co przyleciał w strony nasze, wracaj prędko w swoje strony, pelikanku pier...”. Tak już do końca pułkownik został „pelikankiem” i groza jego ponurego urzędu rozwiązała się bezpowrotnie.

Podczas kolejnej wizyty w Hornsundzie spędziliśmy z Profesorem prawie całą zimę polarną. Wiosną 1985 r. czuł się fizycznie kiepsko, zaczął przebąkiwać, że chętnie umarłby sobie właśnie w tym miejscu. Postanowił jednak przyjechać jeszcze raz do Polski, i po raz kolejny nas zaskoczył. Przez wspólnych znajomych w górach poznał Anię – która została jego trzecią żoną i wierną towarzyszką do ostatnich dni. To późne małżeństwo dało mu poczucie akceptacji i miłości, pozwoliło też na ostateczny powrót do Polski i zamieszkanie we własnym domu. Po raz ostatni spotkaliśmy się razem z Siedleckimi w ich nowym domu pod Łodzią trzy lata temu – Profesor był już bardzo chory, ale bardzo niepokoił się o przyszłość Polskiej Stacji Polarnej – na szczęście mogliśmy go uspokoić, że Stacja działa, rozwija się i w nowej politycznej rzeczywistości zyskała ważne znaczenie – weszła w system Europejskiej współpracy w badaniach Globalnej Zmiany Klimatu.

Ojciec naszego Profesora, Profesor Michał Siedlecki nazywany bywa twórcą polskiej biologii morza i oceanografii, ten człowiek zrozumiał, że kraj który dostał 50 km linii brzegowej Bałtyku w 1918 r., musi rozpocząć badania mórz i oceanów. Jego imieniem został nazwany pierwszy nowoczesny polski statek badawczy r/v „Michał Siedlecki” – zaśluzony w badaniach Oceanu Południowego.

Po śmierci Profesora w marcu tego roku, bezimienna dotąd stacja w Hornsundzie będzie nazwana jego imieniem – Polska będzie prowadzić badania polarne w Antarktyce na Stacji Arctowskiego i w Arktyce na Stacji Siedleckiego.

Dlaczego? Dlatego, że udział we wspólnych, międzynarodowych badaniach krajów polarnych, oceanów czy Kosmosu to obowiązek cywilizowanego i nowoczesnego państwa. Między innymi to dzięki obydwu Siedleckim, wchodząc do Unii Europejskiej mamy tradycję, dorobek, kadry i materialne podstawy do uczestniczenia w poznawaniu świata.



Stanisław Siedlecki przy sterze swojej łodzi – Spitsbergen 1985.



Stanisław Siedlecki przy kierownicy sań motorowych – Spitsbergen 1985.